

Porady ojca psychologa (a przecie mi żal)

W sobotni, kwietniowy poranek popijam nieprzyzwoicie słodką herbatę z cytryną, luksus na który pozwalam sobie jedynie gdy łapie mnie jakieś przeziębienie (a może covid aby być na czasie).

Nagle w ucho, a może znacznie głębiej, wpada mi utwór Bułata Okudźawy „A przecie mi żal” i bez żadnego uprzedzenia trąca moje serce niczym pierwszy klocek domina. Wzbudzona fala chce wylać się oczami.

Miałem zamiar spędzić czas z moimi końmi. Nieśpieszne weekendowe czyszczenie, rytuał siodłania i włóczenie się po bezdrożach „mojego” - lasu, azylu gdzie chronię się, czasem z moją żoną, przed agresywnym światem. Dzisiaj moja ukochana towarzysza przejażdżek końskich i życia przyjęła postać strażniczki mego zdrowia, w konfrontacji z którą moje plany rozwiały się jak dym na wietrze. Umysł poddaje się wolniej od ciała więc siadłem do pisania.

Zaledwie przed paru laty siadałem na konia, przejeżdżałem gruntową drogę, mijałem dwa wiejskie domy i byłem „u siebie”.

Dzisiaj pojawiło się kilka domów więcej. Kolejne metry ogrodzeń a na drodze, która od zawsze służyła wszystkim, tabliczka z napisem „Droga prywatna, wstęp wzbroniony”. Coraz węższy jest przesmyk do miejsca, „gdzie drzewa ciągle pachną tak samo”.

Las broni się razem ze mną, nie poddajemy się w tej walce skazanej na przegraną bo jeszcze słyhać szum wiatru w konarach.

Cieszę się na myśl, że niebawem z siodła, będę zachwycał się wiosennymi popisami wokalnymi ptaków (tylko co jakiś czas zagłuszanych przez quady).

Bez gniewu ustępujemy miejsca zjeżdżając z coraz bardziej rozjeżdżonej ścieżki pojazdom szybszym, mocniejszym i łatwiejszym w utrzymaniu niż koń, przez co los koni jest przesądzony.

Ekonomia jest twardym przeciwnikiem. Wydajniejsze wygrywa.

Tylko co jakiś czas w trakcie moich bezproduktywnych wędrówkach spotykam starych, szorstkich ludzi, którzy głaszczą mojego czworonożnego druha jakby witali się z dawno niewidzianym przyjacielem i z dziwnie wilgotnymi oczami mówią, że też kiedyś mieli konia.

Kiedyś spotkałem letników, którzy na widok „kowboja” bardzo się ucieszyli, bo podobno od znajomych słyszeli, że „tutaj” niektórzy ludzie tak żyją, pozwoliłem im cyknąć parę fotek nie wyprowadzając ich z błędu. Nie chciałem psuć im tej magicznej chwili zapewnieniem, że też w domu mam prąd a jeżdżę do pracy samochodem do miasta. Zresztą mam wrażenie, że tam też, toczę nierówną walkę aby w gąszczu przepisów, oczekiwań, wymagań, roszczeń. Wśród telefonów i maili, całej tej elektroniki, która zdecydowanie mnie wyprzedza, znaleźć wąską dróżkę do konkretnego człowieka, który tak jak od wieków o czymś marzy, czegoś się boi, za czymś tęskni, który kocha i chce być kochany, który chce aby ktoś wysłuchał jego historii, tylko czasami stracił już na to nadzieję.

Snując tę raczej smutną refleksję nie zwróciłem uwagi, że podeszła do mnie moja córeczka, Gabrysia, i bez słowa przytuliła się do mnie nieświadomie dodając mi siłę.

Nie mamy innego życia poza naszym własnym i trzeba walczyć, aby było piękne.

Rozumiem rytuał Wikingów, którzy grzebali zmarłego wodza wraz z jego koniem, orężem i żoną.

Dopóki żyję będę walczył o mój świat, który kocham, nie pozwolę aby umarł przede mną.

I chociaż przejście do niego zdaje się być coraz trudniejsze, to przecież ciągle istnieje.

Żyję nadzieją, że gdy moje dni dobiegną końca znajdę wąską furtkę, którą przekroczyć z zachwytem szepcząc, że tak jak zawsze, było warto.

P.S. Ale jeszcze nie dziś.

Uśmiecham się do śmiałków, którzy decydują się na wąską furtkę prowadzącą do życia .